

tem, z którego spokojnie mogłaby powstać rozprawa habilitacyjna. Mikołaj Dubowicki nigdy jej nie napisał, ale też nie miał z tego powodu kompleksów, etatowy tytuł profesora zupełnie mu wystarczał. Napisał kilka cennych prac, nie było ich dużo, ale liczyła się jakość. Do zajęć ze studentami przygotowywał się niezwykle starannie, ciągle uzupełniając swoje notatki nowościami. Jego wykłady były logiczne i przejrzyste. Studenci nazywali go Carem, może dlatego, że był bardzo wymagający. Po latach jednak tę surowość umieli docenić. Gdy Profesor obchodził jubileusz siedemdziesięciolecia urodzin, aula AGH pękała w szwach, nabita jego wychowankami.

Mikołaj Dubowicki dość dawno temu pracował na Akademii, niezapisane w porę szczegółu ulatują. Łowią skąpe informacje o Profesorze, spoglądam na poważną, zasadniczą twarz na zdjęciu, szukając odpowiedzi na różne zagadkowe pytania. Jak sobie radził w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ten wieloletni, bezpartyjny dziekan z pierwszymi sekretarzami partii na uczelni? – *Niech pani nie zapomni napisać, że Profesor na zewnątrz bronił jak lew każdego pracownika wydziału* – upominają mnie ludzie, z którymi rozmawiam.

To wszyscy pamiętają. Albo zdarzenia z czasów wojny: wiadomo, że Profesor ratował przed Niemcami majątek uczelni. Zaraz po wkroczeniu

wojsk sowieckich do Krakowa przekazał Akademii dokumenty egzaminacyjne, pieczęcie rektorskie i inne cenne materiały. Zdołał też ukryć blisko 200 kg metali czystych: niklu, chromu, wolframu, manganu, molibdenu, które tuż przed wojną laboratoria Akademii na Krzemionkach otrzymały od polskiego przemysłu.

I jeszcze państwu opowiem kilka mało znanych szczegółów z prywatnego życia Mikołaja Dubowickiego. Wcześniej osierocony, mimo to celująco skończył liceum w Stanisławowie. W trakcie studiów materialnie pomagała mu młodsza siostra, przysyłając połowę nauczycielskiej pensji. W Polsce szalała wtedy dewaluacja i pieniądze z dnia na dzień traciły na wartości. Na początku każdego miesiąca Profesor kupował kaszę, smalec i chleb, który suszył, i jakoś sobie radził. Poznając te fakty, dopiero zrozumiałam podtekst pewnej anegdoty: bliski niegdyś asystent M. Dubowickiego z sentymentem wspominał nieśmiertelną, mocno sfatygowaną teczkę szefa i sandały noszące ślady wielokrotnych interwencji szewka.

Późniejszą żonę poznał na balu. Nie umiał wtedy tańczyć niczego poza walcem wiedeńskim, stał, patrzył i długo czekał, aż wreszcie orkiestra go zagra i będzie mógł zaprosić piękną pannę do tańca. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Pobrali się po ośmiu latach. Był rok 1938. Ukochaną zaprosił w podróż poślubną „Ba-

torem”, zwiedzali norweskie fiordy. W 1939 roku urodziła się starsza córka. Wojna zniszczyła spokój domu, teść, prof. Roman Dawidowski, z którym się nawzajem lubili i szanowali, został wywieziony do obozu, rodzina przymierała głodem. No, ale to, co złe, musiało mieć swój kres. Po 1945 roku zaczął budować od nowa.

Pracował bardzo ciężko, bo przez dłuższy czas sam utrzymywał rodzinę. Troszczył się o wszystko, cały rok odkładał na wakacje. Najpierw przez lata jeździli na Podhale, później nad morze do Jastrzębiej Góry. Wtedy, przez ten miesiąc urlopu, istniał wyjątkowo dla rodziny. W ciągu roku czasem w niedzielę robili sobie wycieczki. Blisko, bo do Łasku Wolskiego albo do Łasku na Bonarkę. To były prawdziwe całonocne wyprawy z przygotowywanymi wcześniej przez mamę wiktuałami, które ojciec starannie pakował do swojej czarnej teczki, tej, z którą przez całe lata chodził na uczelnie.

Jego dwie córki skończyły AGH, dwóch wnuków również poszło w ślady dziadka i pradiadka. Rodzina ludzi techniki.

O prof. Mikołaju Dubowickim opowiedzieli mi: Anna Dubowicka – córka, Władysława Kijas – była kierowniczka dziekanatu Wydziału Odlewnictwa, profesorowie Władysław Longa i Jan Lech Lewandowski oraz dr Leopold Staszczak.

Do PAU nie tylko na kawę

Z prof. Jerzym Vetulanim rozmawia Anna Woźniakowska

Panie Profesorze, przed pięćmioma laty, 1 marca 2004 roku, po raz pierwszy krakowianie przyszli do auli Polskiej Akademii Umiejętności, by wysłuchać wykładu w ramach Kawiarni Naukowej. Od tego czasu Kawiarnia Naukowa PAU stała się w Krakowie sławna, ma starych bywalców. Wydaje mi się, że wiem, co tego typu impreza daje krakowianom, ale co daje Polskiej Akademii Umiejętności i zresztosnym w niej naukowcom?

Sądę, że przede wszystkim poczucie spełnienia misji. Polską Akademię Umiejętności tworzy grupa ludzi, którzy z jednej strony chcą się wciąż rozwijać mimo osiągniętej już dość wysokiej pozycji naukowej i – co niestety częste – dość podeszłego wieku, z drugiej mają świadomość, że ciągle mogą dać coś innym. To wynika z tradycji PAU. Gdy przeglądamy dziewiętnastowieczne czasopisma, zauważamy, jak często mówiło się wówczas o działaniach dla dobra ogółu. Słowo „ogół” zniknęło właściwie z języka,

zostało zastąpione innymi określeniami. Dzisiaj najczęściej mówimy o społeczeństwie. Ale ten „ogół” wciąż tkwi w świadomości starych, porządnych członków PAU. Wiemy, że nasze życie dobiega do końca, a każdy chciałby coś po sobie pozostawić, coś wybudować. Otóż uważam, że budowanie pewnej świadomości społecznej jest znacznie pożyteczniejsze niż wystawienie sobie najwspanialszego grobowca. To poczucie z pewnością było inspiracją do zorganizowania Kawiarni Naukowej. To zresztą nie jest nasz

wynalazek. Zafascynowała nas warszawska Kawiarnia Naukowa, którą zainicjowała prof. Magdalena Fikus w autentycznej kawiarni na Nowym Świecie. Wykład połączony z ogólną dyskusją przy kawie, pozwalający na bliższy niż zazwyczaj kontakt uczonych z szerokim gremium słuchaczy wydał się nam bardzo bliski idei PAU. Wprowadziliśmy jedną modyfikację. Otóż postanowiliśmy nie korzystać z kawiarnianych wnętrz, w których zawsze mogą się znaleźć ludzie niezainteresowani tematem, ale wykorzystać naszą aulę, zaprosić krakowian do gmachu PAU i tu poczęstować ich nie tylko słowem, ale i kawą. Decyzja okazała się ze wszech miar trafna, bo uczestnicy naszych spotkań mają dzięki temu poczucie odświętności, wejścia do świątyni nauki, albo raczej na arenę sporu.

Czy w trakcie kawiarnianych spotkań spory zdarzają się często?

Tak, i to jest najciekawsze, że jeden z uczonych przedstawi jakieś tezy, a drugi występuje z innymi poglądami na ten sam temat. Słuchacze mogą wówczas zobaczyć, że nauka nie jest skostniała, spetryfikowana, że to ciągle jest pewien proces. W trakcie jednego z ostatnich spotkań prof. Zbigniew Jaworowski wykazał np., że teza, iż grozi nam efekt cieplarniany i możemy jako ludzkość temu przeciwdziałać, czyli wpływać na klimat naszej planety, ma pseudonaukowe podstawy. Oczywiście, miał również oponentów, a ludzie byli zachwyceni poziomem i temperaturą sporu. Było to też ciekawe z tego względu, że pokazało, ile w nauce jest polityki, ideologii i po prostu oszustwa, naciągania faktów. Nauka to nie jest wieża z kości słoniowej.

Czasem naukowiec w najlepszej wierze pewne fakty interpretuje w ten czy inny sposób.

Ktoś powiedział, że najcięższym grzechem uczonego jest zakochanie się we własnej hipotezie. Trzeba pamiętać, że każda przyjęta i zaakceptowana hipoteza po pewnym czasie ulega weryfikacji. Wydobywane są fakty, które ją podkopują, następuje ścieranie się poglądów i wreszcie tworzy się nowa hipoteza, która, choć różna od poprzedniej, nie gu-



Prof. dr Jerzy Vetulani, fot. arch.

bi tego, co wcześniej zostało opracowane, oczywiście jeżeli materiał został zebrany uczciwie. To jest w nauce najpiękniejsze! Czasem zresztą zdarza się, że ewentualna manipulacja materiałem nie prowadzi do zafałszowania prawdy, bo wynika ze słusznej intuicji uczonego. Tak było np. z prawami dziedziczenia Mendla. Później wykazano, że wyniki badań, na których się opierał, były niemożliwe do osiągnięcia, był tu jakiś fałsz. Ale sformułowane na ich podstawie prawo okazało się słuszne. Rolą naszej Kawiarni jest ukazanie różnego oblicza nauki, stymulacja myślowa uczestników naszych zebrań. Kawiarnia Naukowa nie ma być miejscem przekazu informacji, ale miejscem dzielenia się własną wiedzą i wątpliwościami.

To wymaga odpowiedniego doboru prelegentów – muszą oni umieć mówić o trudnych sprawach w prosty sposób.

Nad tym czuwa prezes PAU, prof. Andrzej Białas, który był inicjatorem i jest wielkim zwolennikiem Kawiarni Naukowej, oraz red. Marian Nowy pilnujący jej atrakcyjności i komunikatywności. Wiele zależy też od Rady Kawiarni, która proponuje kandydatury wykładowców i tematy dysput.

Kto, oprócz uczonych, uczestniczy w spotkaniach Kawiarni Naukowej?

Słuchacze są bardzo różni. Ponieważ tematy spotkań odbywających się w ostatni poniedziałek miesiąca są anonsovane w gazetach, przyjdź może każdy, a nasza aula mieści blisko trzysta osób. Dzięki temu krakowianie widzą, że PAU utrzymywa-

na z pieniędzy podatników jest dla nich. Przecież w trakcie niektórych spotkań nawet aula jest za mała i publiczność zapełnia korytarze. Jak powiedziałem, udział w dyskusjach w Kawiarni biorą członkowie PAU, oni nadają im ton, a obok nich po prostu krakowianie, których temat zainteresował.

Pan Profesor od kilku lat jest moderatorem kawiarnianych spotkań. Czy także przeciętny słuchacz ma odwagę włączyć się w dyskurs uczonych?

Rzadko, co wynika nie tylko z braku odpowiedniej wiedzy, ale i naszej nieumiejętności wypowiadania własnych sądów. Nasze szkoły niestety tego nie uczą i to od podstawowego szczebla do studiów. Pod tym względem odbiegamy bardzo od szkolnictwa zachodniego. Obserwuję jednak, że powoli coś się zmienia. Co też jest ważne, nigdy przez salę nie przechodzi pomruk świadczący o protestie wobec wypowiedzianych opinii, chyba że zdarzy się ktoś zupełnie nieodpowiedzialny, ale to są jednostkowe przypadki łatwe do opanowania przez prowadzącego. Kawiarnia uczy więc nie tylko przedstawiania swoich opinii, ale i tolerancji wobec poglądów innych uczestników. Biorąc pod uwagę, że w każdym spotkaniu bierze udział przeciętnie dwustu, trzystu słuchaczy, wnosić można, iż oddziaływanie naszej Kawiarni jest nie do przecenienia.

A czego nowego Pan Profesor dowiedział się dzięki Kawiarni PAU?

Ostatnio pięknie mówił prof. Franciszek Ziejka o Wigiliach polskich w okresie niewoli. Utkwił mi w pamięci wykład prof. Henryka Pietrasa *Co aniołowie wiedzieli o Bożym Narodzeniu?* nie tylko ze względu na tematykę, ale i ciekawą dyskusję, która dotyczyła m.in. upostaciowań aniołów w sztuce, a także eufemizmów w Biblii. Dowiedziałem się, że w dawnych wiekach serafinów pokazywano z czterema skrzydłami, a w tradycji żydowskiej aniołowie mieli tylko jedną nogę, bo ich powinnością było czuwanie, a do przemieszczania się mieli skrzydła. Czego więc najbardziej aniołowie zazdrościli Adamowi? Tego, że mógł się przechadzać z Panem Bogiem po raj. Przecież to urocze.